

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY.

Nr. 34.

Katowice, 21-go sierpnia

1926.

W imię † Ojca i † Syna i † Ducha Świętego Amen.

Na większą cześć i chwałę Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy świętej jedynemu, a nam na zbawienny dusz naszych pożytek, czyta Kościół Boży na

niedzielę 13-tą po Ziel. Świątkach

Ewangelię

u św. Łukasza w rozdziale XVII., w 11—19.

W on czas: Gdy Jezus szedł do Jerozolimy, przechodził między Samarią a Galileą. I gdy zbliżał się do pewnej osady, zabiegło Mu drogę dzie-

sięciu mężów tradem okrytych. Stanęli oni zdaleka, i podnieśli głos, wołając: Jezusie, Mistrzu, zmiłuj się nad nami! A ujrawszy ich, rzekł im: Idźcie, pokażcie się kapłanom. I stało się, że podczas drogi zostali oczyszczeni. A jeden z nich, widząc, że był uzdrowiony, wrócił się, wielbiąc Boga głosem wielkim, i dzięki czyniąc, padł na oblicze do nóg Jego; — a był to Samarytanin. Jezus zaś odezwał się i rzekł: Czyż nie dziesięciu zostało oczyszczonych? Gdzież więc jest dziewięciu? Zaden więc z nich nie wrócił się, by chwałę oddać Bogu, z wyjątkiem tego cudzoziemca? Do niego zaś przemówił: Wstań, idź — wiara twoja uzdrowiła cię!

Pamiętna rocznica: św. Franciszka z Assyża 1226-1926.

Cały świat katolicki w roku bieżącym przygotowuje się do uroczystych obchodów, poświęconych pamięci jednego z najbardziej czczonych świętych, św. Franciszka z Assyża, który przed siedmuset laty działał i żył w słonecznej krainie włoskiej. Niema chyba w najdalszym zakątku świata katolika, któryby o św. Franciszku nie słyszał. Zakony pod Jego wezwaniem rozmnożyły się licznie, a bractwa t. zw. tercjarские głównie enoty franciszkańskie uprawiają i szerzą. Jak wielkim musiał być, zarówno jak i świętym Franciszek z Assyża, skoro po latach 700 żyje jeszcze jego myśl, enota, jego wielka idea ubóstwa i miłości bliźniego. Zanim uroczystości franciszkańskie w pełnych i jasnych barwach pokażą nam świętego, zaznajomimy się już dzisiaj z jego życiem, działalnością i tym niezwykłym urokiem, który rozlatał wokoło siebie, ten najuboższy, najbardziej ludziom życzliwy i miłosierny święty.

Życie i działalność.

Urodził się około r. 1182 w mieście Assyżu, jako syn Piotra Bernardonego i matki Piki. W szkole nauczył się trochę pisać, trochę łaciny i po francusku, w którym to języku śpiewał od młodości umiłowane pieśni, czerpiąc z nich zamiłowanie do rycerstwa i rycerskości. W latach najmłodszych, jako bogaty młodzieniec, prowadził życie wesołe a nawet hulastwe. Wskutek wojny między Niemcami a Włochami, w której Franciszek brał udział, dostał się do niewoli i spędził w niej rok cały. Potem po zawarciu pokoju powrócił do Assyża i rozpoczął znowu wesołe życie. Rozchorował się jednak ciężko, wyzdrowiawszy uczuł pustkę w życiu i do dawnych zwyczajów wrócić nie chciał. Gardził sobą i przeszłością. Postanowił powtórnie zadziąć się do wojska w walczące szeregi papieża Innocentego III. Wybrał się w drogę, na podziw świetnie uzbrojony, marząc o przyszłej sławie, lecz już na jutro wrócił z niewiadomych powodów ku wielkiemu zagniewaniu próżnego ojca. Postanowił

zupełnie życie zanieść, lecz szukał sposobu, któryby go zadowalał. Dla poznania dróg życia udaje się do Rzymu, aby poddać próbie duszę swoją. Pożycza łachmanów od żebraka, któremu w zamian dał własne szaty i siedzi cały dzień pod kościołem głodny, z wyciągniętą ręką.

Ten dzień spędzony na żebractwie pokazał mu całą nudzę ludzką. Po powrocie do Assyża dnia pewnego wyjechał konno na przechadzkę; spostrzegł trędowatego i mimmo woli z wstrętem odwrócił konia ruchem strachu i odrazy. Lecz już w następnej chwili uczuł wstyd, zawrócił do choroego, oddał mu wszystkie pieniądze i w największej pokorze ucałował go w rękę.

Tak dokonał się przewrót moralny w duszy młodzieńca.

Lecz ojciec jego, Piotr Bernardone, nie był zadowolony z tej zmiany, a gdy nie pomagały kary, aby przywrócić Franciszka dawnemu życiu, uciekł się Bernardone do pomocy władz. Lecz Franciszek stawiony przed biskupa zrzucił z siebie odzienie i stanawszy nagi, rzekł: „Słuchajcie. Dostał zwałem Piotra Bernardonego ojcem swoim. Odtąd chcę służyć jeno Bogu. Przeto oddaję ojcę pieniądze, o które się tak troska, odzienie, i wszystko, co mam od niego, gdyż odtąd chcę mówić jedynie „Ojcie nasz, któryś jest w niebie“.

Ojciec ku zgorzeleniu wszystkich zabrał szaty, Franciszka okrył biskup swym płaszczem.

Nowe życie.

Teraz zapanował w sercu Franciszka błogi spokój; był wolny, biedny, bezdomny jak żebracy i trędowaci. Z całą miłością oddał się pielęgnowaniu trędowatych i odbudowie zapomnianej i zaniechanej starej kaplicy św. Damjana. Pracował wraz z trędowatymi, czyniąc im rozliczne posługi. Równocześnie rozmyślał wiele w sposób pobożny. A gdy zabrakło materiału do odbudowy kaplicy, chodził z pieśniami, prosząc o... kamienie w zamian. Nie odmawiano mu też kamieni, lecz uważano go za obłąkańca i sztydzonego srogo.

na, zabrał się do odnowy uboższej Porcjunkuli. Tu, żyjąc na rozmyślaniach, postanowił żyć według Chrystusa. Nie trwało długo, aż zebrał się naokół niego uczniowie towarzysze. Była to gromada dusz czystych i jasnych, z którą przeżył najczarowniejszy okres swego życia. Budowali oni chatki w małych pustelniach wokół Assyza, chcąc być najbogatsi ubóstwem; kazali do ludu w słowach najprostszych i najczulszych, pracowali, chwalili Boga w czystości serca, wśród przyrody, swobody i miłości.

Założenie Zakonu.

Gromadka franciszkan zwróciła na siebie uwagę Rzymu. Nadano jej regułę klasztorną, a choć Franciszek nie myślał o założeniu Zakonu, przecież w pokorze przyjął życzenie papieża. Zamieszkali braciszku w szpitalu w Rivo Torto, potem w Porcjunkuli, dla czynów miłości i pracy. Troškali się o ubogich, posługiwali trędowatym. Zakonem żebraczym nie byli jednak. Franciszek kazał zarabiać swym uczniom na życie pracą rąk. Chciał stworzyć nie zakon ubogich żebraków, lecz zakon pracy. W testamencie tak mówi: „Przebywaliśmy najchętniej w kościołach ubogich i opuszczonych i byliśmy niewiedzący i wszystkim ulegli. Pracowałem własnymi rękoma i pragnę w tem trwać nadal i pragnę, by wszyscy inni bracia posiadali zacne rzemiosło. A którzy jeszcze żadnego nie umieją, niech się jakiegoś nauczą, nie w zamiarze, by otrzymywać zapłatę za pracę, lecz dla dobrego przykładu, aby ująć bezczynności. A jeśli odmówią wam zapłaty, to ucieknijmy się do stołu pańskiego, by prosić jałmużny od drzwi do drzwi.“

Franciszek był dla próżniaków bardzo surowy. Sam był wzorem pracowitości: nie uchylając się od posług najniższych, jak zamiatanie kościołów, życie strawił na kaznodziejskich wędrówkach po Włoszech i misjach, w których dotarł aż do Egiptu i Ziemi Świętej. Życia wśród modłów, pracy, pokory, ubóstwa żądał od uczniów swoich. W testamencie swym mówi: „Niech bracia pilnie baczą, by nie utrzymywali ani kościołów, ani mieszkań, ani niczego, co by im zbudowano, lecz aby wszystko tak było, jak przystać świętemu ubóstwu, które zaślubił w regule: niech wszędzie tylko tyle gościnności przyjmują, ile jej się należy cudzoziemcom i podróżnym.“

Schyłek życia.

W r. 1224 dokonywa się najdziwniejsza tajemnica życia jego. W czasie postu na górze Alverno otrzymuje stygmaty. Okres ten jest szczytem jego żywota. Podupada jednak na zdrowiu; wraca do Porcjunkuli i chociaż chory, oddaje się z zapalem kaznodziejstwu, objeżdżając południową Umbję. Grozi mu ślepotą. Papież posyła mu lekarza, lecz nie pomaga. Chory ulega wybuchom krwi. Umiera ze śpiewem na ustach, tworząc hymn do słońca: „Śpiewając szedł naprzeciw śmierci“ — mówił biograf Celano. Przed śmiercią kazał się położyć nago na gołej ziemi. Nagi poszedł w życie oddawszy suknie swoje ojcu — nagi chciał oddać się śmierci. Skonał w sobotę 3-go października 1226 r., nie cierpiąc wcale. Legenda mówi, że kiedy ducha wyzionął, niezliczone mnóstwo skowronków zleciało na dach jego celi, by powitać duszę zrywającą się do lotu.

—o0o—

Kapelusz.

Opowieść z czasów rewolucji francuskiej.

— To ty, Jakóbie Wernerze? — zawołał burmistrz miasteczka Klein-Bergdorf. — Czego chcesz?

Stary Werner trzymał w ręku nakaz rekwizycyjny. Rozłożył go na stole i wygładził wszystkie zagięcia z widocznie zakłopotaną miną. Papier ten nakazywał mu dać u siebie mieszkanie i utrzymanie w przeciągu całego jego pobytu emigrantowi francuskiemu, Ludwikowi de Mérance, Kornetowi w szwadronie kawalerji księcia de Conti, który się przyłączył do armji austriacko-pruskiej, walczącej z rewolucyjną Francją.

— A więc, — zapytał burmistrz, — nie chcesz udzielić schronienia temu francuskiemu szlachcicowi? Wiesz jednak, że wszyscy mieszkańcy naszego miasteczka, mający dom własny i środki utrzymania, muszą żywić przez czas pewien jednego z tych Francuzów. Jakież masz powody do odmowy?

— Nie o to chodzi, — odparł nieśmiało Werner, — bynajmniej nie o to chodzi. Tylko ten, któregoście mi dali, jest tak smutny, tak strasznie smutny! Nie umie on po niemiecku, panie burmistrzu, a nikt z nas, ani ja, ani moja żona lub dzieci nie rozumiemy po francusku. Biedak więc nudzi się okropnie. Gdybyś pan wsadził do klatki jednego tylko ptaszka, to z pewnością wkrótce zakończyłby życie, a cóż dopiero człowiek, potrzebujący koniecznie towarzystwa. Nieprawdaż?

— Jakto? — zawołał zdziwiony burmistrz, — chciałbyś dostać jeszcze jednego?

— Tak, — odparł Werner z prostotą. — Potwarzam panu, że ten młody Francuz, skazany na samotność, umrze z pewnością z nudów. Ludzie stworzeni są na to, aby mogli porozumieć się ze sobą, on zaś nie ma nikogo do rozmowy.

— Jesteś poczciwym człowiekiem, Wernerze. Niestety, jednak wszyscy ci emigranci są już rozlokowani. Znajdą się wszakże inni, bo niemal codziennie przybywają. Pierwszego więc, który przyjedzie, odeślę do ciebie, to ci przyrzekam.

W parę dni później, do największej izby w swoim domu, w którym stały cztery łóżka z pierzynami, sięgającymi niemal aż do sufitu, Jakób Werner wprowadził, a raczej wciągnął przemocą jakiegoś młodzieńca, prawie dziecko, bo nieznamy liczył zaledwie lat 17. Na różowej jego twarzy jasny zarost, albo raczej złotawy meszek zaledwie zaczął się wysypywać.

Tym razem Werner nie rzucił nawet okiem na nakaz rekwizycyjny, ale uszczęśliwiony, że znalazł towarzysza dla samotnego dotąd swego gościa, zawołał z radością:

— Herr te Merasz, Herr te Merasz!

Pan de Mérance, który miał galony korneta na zniszczonym już trochę mundurze, siedział przy wielkim kuchennym stole z czołem, ukrytem w dłoniach. Starał się drzeć dla zabicia czasu, bo i cóż miał robić? Usłysawszy swe nazwisko, podniósł głowę z niezadowoleniem, zaczynał już bowiem zasypiać i zapominać o wszystkim, a tymczasem nagle go zbudzono. Przetarł sobie oczy, mruczając coś pod nosem, gdy nagle nowy przybysz, zdziwiony i uradowany, zawołał:

Pan de Mérance zerwał się z miejsca.

— Karolu! — krzyknął, rzucając się w objęcia brata.

Tymczasem stary Werner, nie domyślając się, jaki węzeł pokrewieństwa łączył jego lokatorów, winał sobie tylko, że prawdopodobnie żyć będą razem w jak najlepszej zgodzie, i poszedł dla nich po piwo.

— Jak się miewasz? — zapytał Karol głosem drżącym ze wzruszenia. — Czyś zdrow, czyś nie ranny?

— Ranny? — powtórzył Ludwik z odcieniem goryczy. — Nie brałem jeszcze dotąd udziału w żadnej bitwie. Szwabi widocznie nam nie ufają i nie pozwalają uczestniczyć w potyczkach. A ja takbym pragnął pomścić na jakobinach śmierć naszego króla!

Tu opowiedział bratu o nieufności całego sztabu naczelnego wodza, księcia brunświckiego względem Francuzów, oraz o pogardzie, lekceważeniu i niechęci, okazywanej im przez dowódców niemieckich na każdym niemal kroku.

— Żle może zrobiłem, Karolku, — dodał, — źle może zrobiłem, emigrując razem z innymi i bardzo tego żałuję. Ojciec nasz postąpił daleko lepiej, pozostawszy we Francji. Ale czemu ciebie nie zatrzymał przy sobie?

— Ojciec miałby mnie zatrzymać? O mój biedny Ludwiku, to ty nie wiesz o niczem?

— Skądże mógłbym się dowiedzieć tu w głębi Niemiec o tem, co u nas się dzieje?

Wzruszenie zatamowało mowę Karolowi, lecz Ludwik zaczął się już domyślać smutnej prawdy.

— Czyżby trybunał rewolucyjny skazał go na śmierć? — zapytał. — Ale przecie byliście w Tuluzie, nie w Paryżu?

— Tak, byliśmy w Tuluzie, lecz...

— Ach, mówże prędzej!

Gilotyna jest także i w Tuluzie. Nie brak tam również oskarżycieli, wydelegowanych przez Konwent z Maratem na czele...

— A więc ojciec nasz nie żyje? Czyżby Marat skazał go na śmierć?

— Nie, nie Marat... ale w Paryżu...

— Czemu nie mówisz mi wszystkiego? Co przedemną ukrywasz?

— A więc powiem ci całą prawdę. Ojciec opuścił Tuluzę, gdzie kazał mi pozostać z matką i udał się sam do Paryża, mówiąc, że chociaż król zginął na rusztowaniu, można jeszcze ocalić biedną królową wraz z jej córką i synem... Wiesz, jak ojciec był przywiązany do rodziny królewskiej. Postanowił więc użyć wszelkich środków, jakie leżały w jego mocy, aby ją uratować. Od czasu do czasu miewaliśmy od niego wiadomości.

— A to jakim sposobem?

— Och, rozmaitemi sposobami. Od jednego końca Francji do drugiego my, arystokraci, jak mówią jakobini, porozumiewaliśmy się wciąż ze sobą. Oto na przykład pewien zacny kapłan, ks. Juliard, przebiegał całą Francję od Bretanii aż do Pirenejów, jako wędrowny kramarz z ogromną, wydrażoną laską w reku, napelnioną pieniędźmi i listami, które roznosił do rozmaitych rodzin, udzielając im zarazem religijnej pociechy. Były też i inne sposoby... Ale, niestety, jeden z nich okazał się daremny...

— Mów prędzej, jaki?

— Nigdy jeszcze krewni i znajomi nie posyłał sobie tylu ciast, pasztetów i innych przysmaków, ile w tych smutnych czasach. Domyślał się, że nie chodziło tu o podarunki, ale o to, co się w nich znajdowało. Tak więc wiadomości z Paryża nadchodziły do Tuluzy w kapeluszach, w podszewce od ubrania lub w pudełkach, napelnionych sztucznymi kwiatami. Drobnymi, niedostrzegalnymi prawie znaczkami na adresie, malutki punktik na oznaczonym miejscu wystarczał, aby dać do zrozumienia, że należy starannie szukać... rozumiesz?

— Ach, rozumiem, rozumiem!

— Otóż pewnego razu matka nasza, co dość często się zdarzało otrzymała przesyłkę. Było to bardzo starannie opakowane pudełko z kapeluszem od Leroy.

— Zawsze więc jeszcze Leroy dostarcza strojów naszym paniom? — zapytał mimowoli Ludwik.

— Tak, bo przecież muszą one po dawnemu ubierać się wykwintnie, uczęszczać do teatru i odwiedzać znajomych. Jest to konieczne. Z początku w Tuluzie po wyjeździe ojca przestaliśmy wychodzić i przyjmować u siebie przyjaciół, ale nasz adwokat, przechylający się wprawdzie na stronę jakobinów, lecz zawsze jeszcze nam życzliwy, powiedział raz mamie: „Pani de Mérance, źle pani robi, zamykając się u siebie w domu, bo to za nadto zwraca uwagę i wydaje się podejrzaniem. Musi pani bywać w towarzystwie.“ I mama zaczęła znowu odwiedzać znajomych, oraz przyjmować wizyty.

— I cóż dalej?

— Na pudełku był malutki krzyżyk, zrobiony ręką ojca; spostrzegłszy go, zaraz powiedziałem matce: „Trzeba rozpruć ten kapelusz, bo może ojciec donosi nam coś o sobie i pod podszewką może znajdziemy kartkę.“ „Dobrze, dobrze, zaraz!“ odrzekła mama, ale najprzód przed lustrem przymierzyła kapelusz, w którym było jej bardzo do twarzy, i dodała: „Wyjdę tylko na chwilę do mojej przyjaciółki, pani Aubry, a za powrotem natychmiast go rozpruję. Szkoda mi go wprawdzie, bo taki ładny, ale muszę go zniszczyć.“

Niestety, odkładała to z dnia na dzień i tak upłynęły dwa tygodnie. Wreszcie raz pewnego rzekła:

— Karolu, oto już oddawna nie mieliśmy wiadomości od ojca.

— Ależ mamu, — odparłem, — wszak od dwóch tygodni jest może list od niego w twoim kapeluszu.

— To prawda, — odrzekła z żalem, i zaraz pruć go zaczęła. Rzeczywiście był tam list, w którym ojciec pisał: „Nie czuję się już tu bezpiecznym, bo jakobini są, jak się zdaje, na moim tropie, tak, że muszę niezwłocznie stąd wyjechać. Przyślijcie mi 50 dukatów, gdyż moje fundusze już się wyczerpały. Zaraz po ich otrzymaniu, jeżeli Bóg pozwoli, udam się przez Dijon do Grenoble, a stamtąd do Sabaudji“. Mama wysłała więc niezwłocznie dwa razy większą sumę, ale już było za późno. Ojciec zginął na rusztowaniu. Cóż chcesz? Był to poprostu fatalizm...

— Tak, — odparł Ludwik ze łzami. — Był to fatalny zbieg okoliczności...

— Albo raczej wola Boża, — dodał poważnie Karol.

Jawnuta.

Poziomo:

1. Wierzący w Boga. 4. Urządzenia elektryczne. 7. Związek państw. 8. Tablica (po łac. liczba mnoga). 9. Miara polna w Danii. 10. Miara ciężaru. 12. Robotnicy (jacy?). 14. Naród słowiański. 16. Inaczej zakład o pierwszeństwo (n. p. w sporcie). 18. Pseudonim autora „Kielnia i Krzyż”. 19. Przyjaciół Odyseusza. 21. Owoc palmowy (licz. mn.). 23. Dolina przy Jerozolimie. 24. Znakomity kronikarz. 25. Napój. 27. Imię żeńskie. 28. Rzeka po hiszpańsku. 30. Liczba. 31. Samogłoski inaczej. 32. Zgromadzenie religijne. 33. Słowa i działania osób występujących w teatrze. 34. Roślina bodziskowa. 35. Wyrabia szewc. 37. Modry kolor nieba. 38. Metal szary. 40. Pierwsza Msza w Adwencie. 42. Pole. 44. Wiele bydła, gęsi i t. p. 45. Obszar dworski w Katowickiem. 46. Głębokie miejsce w wodzie. 47. Tyle co nienaruszony.

Pionowo:

1. Tkanina z bawełny. 2. Ubiór starożytnych Rzymianek. 3. Inaczej warownia. 4. Uczeń z franc. w (4 przypadku). 5. Tyle co danina. 6. powózka. 9. Roża alpejska. 11. Przewidywalna materia z jedwabiu. 12. Orzeczenie sędziów przysięgłych. 13. Przestrzeń otaczająca ziemię dokoła. 15. Rzeka na Litwie. 17. Płyn. 20. Większy lub mniejszy pecherz lub worek napełniony płynem. 22. Imię biblijne. 23. Inaczej rura. 26. Tyle co szlachetność. 27. Pisarz czynów, mów i męki P. Jezusa. 29. Pachnąć, śmierdzieć (po łac.). 30. Przedza gasieniczy jedwabnika. 31. Inaczej żołnierze. 32. Inaczej, mieści w sobie. 33. Wieś na Śl. Opolskim. 36. wieś w Katowickiem. 39. Bez ubrania. 41. Roślina z rodzaju psiankowatych. 42. Odwrotna strona sukna. 43. Tyle co okopy ochronne.

Przestawianka

ułożył Fr. Sosna.

Ciec, ja, ja, ki, ki, ki, kie, ko, lo, młyn, oj, syn, ta, ta.

Powyższe sylaby poprzesztawiać, aby utworzyły stare przysłowie.

Lamigłówka sylabowa

ułożył St. Bogacki.

An, bin, bra, fan, i, jo, ka, ka, le lja, na ne, o, o, pi, po, ra, re, ro, sna, so, ste, stor, ta, um, zy.

Z powyższych sylab ułożyć 11 wyrazów, aby trzecie litery każdego dały imię i nazwisko wielkiego hetmana i króla polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Hiszpanii. 2. Kraj w Ameryce. 3. Imię żeńskie. 4. Drzewo. 5. Miasto na Śląsku Opolskim. 6. Żydowski duchowny. 7. Sok z makowca. 8. Imię męskie. 9. Tytuł sławnego starca. 10. Część ciała. 11. Miasto w Egipcie.

Rozwiązanie zagadek z nr. 32 „Niedzieli”

Skok konika.

Tańcowała ryba z rakiem,
A cebula z pasternakiem;
Pietruszka się dziwowała,
Że cebula tańcowała.
Tańcowała śliwka z hanłą,
Grochowianka z miotłą za nią;
Dziwujcie się ludkowie,
Jak to miotła tańcuje.
Pieśń ludowa.

1	2	3	4	5	6
7		8			
		9	10	11	12
	14		15	16	17
18			19	20	21
	23		24		25
27		28	29	30	
		31		32	33
34			35	36	37
		38	39	40	41
44			45		46
					47

Lamigłówka kratkowa.

K	k	i	k	k	p	S	O	O	O	l	o	c
u	A	o	o	o	l	o	P	p	L	a	s	z
l	j	T	l	r	a	K	o	o	i	S	i	e
i	e	u	O	a	I	a	k	i	m	k	K	s
g	t	s	r	L	d	L	s	e	p	a	a	I

Katolik Polski.

—o—o—

Szarada.

Konstantyn — o — stan — pol.

Konstantynopol.

Lamigłówka sylabowa.

Bak, Ernestyna, Niniwa, Izydora, Osobłoga, Wenera, Samara, Katowice, Irena.

Beniowski.

Rozwiązania wszystkich zagadek nadesłał: Leopold Kawka z Szarleja.

Rozwiązanie konika nadesłali: Antoni Siwiec z Katowic, Zygfryd Klon z Rogów, Agnieszka Bacianka z Chorzowa, Rudolf Szawerna z Rogów.

Rozwiązania konika, szarady i lamigłówki nadesłali: Ernestyna Bakówna z Burawca, Adolf Kałuża z Jedłownika.

Rozwiązanie szarady nadesłał: Stanisław Bogacki z Urbanowic.

Rozwiązanie lamigłówki kratkowej, szarady i lamigłówki sylabowej nadesłał: Jan Muszkiet z Król. Huty.

Dobre rozwiązanie zadania kwadratkowego i lamigłówki sylabowej z nr. 31 „Niedz.” nadesłał jeszcze Alfons Kółek z Nieboczowa.

Szanowni lubownicy zagadek, a gdzież figury do skoku konikowego?

Panu J. Bolczyk w Rudzie. Zadania rachunkowego nie umieścimy, ponieważ już raz było, i to w numerze 5. „Niedzieli”. Dziękujemy za to, co już było, a prosimy o więcej.